№ 37. ROK III.

TYDZIEŃ.

„Tydzień" wychodzi w każdą niedzielę z dodatkami w razie potrzeby we wtorek i w piątek. Pojedyńczy numer kosztuje 7½ kop. Cena ogłoszeń od wiersza lub za jego miejsce po kop. 5, za następne po 4, 3 i 2 kop. w miarę ilości powtórzeń.

Ogłoszenia przyjmują się w redakcyi i w księgarni L. Chodźki; w **Warszawie** w kan. Wiedeńskiego—róg Nowego-Światu i Ordynackiéj.

PETROKOW dnia 12 (24) października 1875 r.

Adres redakcyi: - Antoni Porębski—w Petrokowie przy drodze Żel. Warsz.-Wiedeńskiéj w domu W-go Brendla.

Cena kwartalna:
w Petrokowie w księgarni L. Chodźki kop. 75
w Warszawie w księgarni i kantorze pism peryjodycznych Maurycego Orgelbranda naprzeciw statuy Kopernika—z przesyłką pocztową rs. 1 kop **10.**
Prenumerować można nadto we wszystkich księgarniach krajowych.

25 P.	Kryspa i Kryspina	W 6—46	Z. 4—43	Długość dnia god. 9 m. 57.	29 P.	Narcyza B.	W 6—54	Z. 4—35	Nów księżyca
26 W.	Ewarysta P.	6—48	4—41		30 S.	† Zenobijusza B. i Zenobii. .	6—55	4—33	Długość dnia g. 9 m. 38.
27 Ś.	Sabiny M. i Iwona W. . . .	6—50	4—39		31 N.	*24 po Św.* Wolfganga B. . .	6—57	4—31	
28 C.	Szymona Judy i Tadeusza . .	6—52	4—37	Dnia ubyło god. 7 m. 5.	1 P.	*Wszystkich Świętych*	6—59	4—29	Dnia ubyło g. 7 m. 13.

Treść:—Rany społeczne (II) przez A. A.—Wiadomości miejscowe i z okolic. Korespondencyje Tygodnia: Z nad Warty przez ?.—Do pani Piotrowéj przez Eks-Bociana.—Ogłoszenia. —**Odcinek**: W chwili gniewu (przekład).

RANY SPOŁECZNE.

II.

Przy wyjściu pociągu z jednéj ze stacyj kolei warszawsko-wiedeńskiéj, zwrotniczy do zwykłéj podążając roboty, ujrzał, że ktoś pakunek jakiś wyrzucił z wagonu.

Przeraźliwemu świstowi lokomotywy, zawtórzyło żałośne kwilenie. Istota na obraz i podobieństwo boże stworzona, na samym wstępie do życia, gorzéj niż siérotą została.

Własna prawdopodobnie matka zaparła się swego dziecięcia, które, jeśli nie na natychmiastową śmierć, samą siłą rzutu, to w najszczęśliwszym razie, na wolne konanie i cierpienia z opuszczenia, zimna i głodu, skazała.

Dzięki Opatrzności i owinięciu, którém spowite zostało, żyło biédne niemowlę. Strumienie krwi twarzyczkę mu zalały, lecz rany z upadku wynikłe, nie były śmiertelne.

Załamał nad niewinném stworzeniem ręce poczciwy robotnik, szlachetne łzy oburzenia i *litości wytrysły mu ze źrenic*, zadumał się chwilę głęboko. . kto wié, czy nie nad tém: „czém się stać może człowiek?" — i jak to często się zdarza, sam ubogi, do piersi nieszczęśliwą przytulił istotę, przyrzekając w duchu kawałkiem czarnego chleba rozłamać się z owém biédactwem.

Fakt ten, od którego spełnienia kilkanaście tylko dni nas przedziela, sam przez się wymowny, w związku zostaje z tą straszliwą chorobą, na którą tak słusznie warszawskie powstają czasopisma a która ochrzcona donjuanizmem, duszobójstwa powinna nosić miano.

Jak mistyczni bowiem zbrodniarze thug'i, przynosili Kali, bogini śmierci, w ofierze dojrzałych ludzi i dzieci, nie przeléwając krwi a dusząc ich pokryjomu, tak ci donjuani XIX wieku, rok rocznie, bóstwu „rozpuście" składają daninę.

Rzućmy tylko okiem na piérwsze lepsze statystyczne cyfry. Rok 1874: Warszawa—dzieciobójstw 12; gubernije: kielecka—dzieciobójstw 15; lubelska 3; łomżyńska 11; płocka 14; radomska 7.... Weźmy jeszcze bliższe dane: gubernija petrokowska—od 15 czerwca r. b. do końca września wykrytych dzieciobójstw 9. Przyczyną cztérech, jak to urzędowe wykazało śledztwo, były same matki.

A ileż to podobnych zbrodni mrok niewiadomości pokrywa... Horrendum!

Człowiek jednak panem stworzenia nazywać się każe i chryzmat szlachetności zda się nosić na czole.

Samica-bocian, gdy pali się gniazdo, skrzydłami swe pisklęta okrywa i ginie wraz z niémi w płomieniach;—człowiecze-matko, ty stworzeń korono, czyliż nic ci w piersiach nie zadrga, gdy na cząstkę siebie, krew własną, podnosisz rękę?

Tygrys daje się zabić w obronie swego potomstwa;—człowiecze-ojcze, jakże on ciebie zawstydza! Ty w gronie hulaszczém ze swych się orgij przechwalasz i za tryumf to liczysz, żeś zdeptał uczciwość i cnotę, że dwukrotnego stałeś się przyczyną zabójstwa!

Jeżeli prawo pisane, fizyczne zabójstwo ciężkiém i długoletniém karze więzieniem, jakiéjże więc wart kary ten, co ducha zabija, cześć kradnie kobiécie, rozprzęga węzły święte rodzin i wstyd im niesie, do występku popycha i stawia na ostatnim szczeblu znikczemnienia słabą istotę?

Czém się to jednak dzieje, że społeczeństwo nasze, w miejsce moralnego udoskonalenia, na tak stromą się stacza pochyłość? Gdzie przyczyna—i lékarstwo na tę zgangrenowaną ranę?

„Każdy jako członek ludzkiéj społeczności, jest współuczestnikiem i współodpowiedzialnym za czyny występne," powiada dr. M. Haushofer. Więc ogół nasz tu winien? zapytać przychodzi Niestety,—tak jest, wyznać musimy.

Nieulega najmniejszéj wątpliwości, że dobre lub złe powodzenie, moralny i materyjalny byt, jak pojedyńczego człowieka, tak i całego społeczeństwa, ma początkowe i najważniejsze swe źródło w rodzinie. Solidarne zespolenie się kilku domowych kółek, wytwarza z siebie promienne blaski, które daleko sięgając światłem swém brudne nawet rozwidniają zaułki. A chwilowa ta jasność roztrzeźwia ospałe umysły, zmusza je wejrzéć w swoją brzydotę i choć na chwilę rumieniec wstydu na zbrukane występkiem wywołuje oblicza. Jeżeli zgłodniały proletaryjusz zapomni na chwilę o głośnych wymogach żołądka, gdy stanie przed uiluminowanym pałacem bogacza i dźwięki ochoczéj zasłyszy muzyki i roznamiętnione tańcem zobaczy pary—a po tych strugach światła, co mu olśniły oczy, tysiąckroć ciemniejszym się mu wydaje własny barłóg nędzy—to jednak zakamieniałego zbrodniarza nawet szczytny widok poświęcenia w nawiększy wprowadza zachwyt,—a upadła istota, która dom zepsucia własnym nazywa dachem, śni i marzy nieraz o prawdziwéj miłości, cierpienia książkowéj heroiny i jéj walki własném podziela sercem, chciałaby ją podtrzymać, do wytrwałości zachęcić, ostrzedz o grożącém niebezpieczeństwie.... upadek jéj łzami żalu skrapia. Widok błogiego pożycia pewnego koła ludności, również do tego uczucia, pożądania spokoju zachęca. Gdzie tylko widzimy rozwinięte owe życie towarzyskie, z pobudek czystéj chęci wzajemnego umoralnienia powstałe, tam silniejszą dostrzegamy spójnię wzajemnych pojęć, dążności i celów, tam mniéj występków, zdrożności, a nawet usterek. I to rzecz prosta, bo początkowo do kamertonu ogólnego się nastrajając; ocenę ogółu, za skalę własnych biorąc postępków,—powoli, nieznacznie tak do téj nastrajamy się harmonii, że mimowiednie w końcu własne sumienie już wystarcza i sędzią naszych działań się staje.

Że to, o czém mówimy, nie czczą jest utopiją, moglibyśmy powołać się i na „kwakrów," których pożycie rodzinne i społeczne naśladowania jest godne, a wypływa ono właśnie z poszanowania ustaw religijnych, węzłów rodzinnych i towarzyskich;—lecz swojskiéj dotykając rany, na własnym chcemy pozostać gruncie i z niego dobywać przykłady. Dopóki węzeł religii dusze nasze jednoczył z poezyją i źródłem szlachetnych czynów—niebem, dopóki życie towarzyskie jednoliciéj łączyło nasze rodziny i masy, mniéj mieliśmy przykładów, pobudek, owego penchant au crime do czynów, które motylkowatością, przez grzeczności nazywamy. Gdy zwolniał ten gordyjski węzeł, gdy ogródki i t. p. zastąpiły nam domowego pożycia słodycze, przygasło ognisko rodzinne, rozluźniły się towarzyskie stósunki, duch solidarności zmalał i wystąpiły bohaterskie popisy, ulicznych Bayard'ów.

Nie przywykłszy zabawiać żon naszych, a bawiąc się sami, daliśmy im proste prawo odwetu, z którego przez źle pojętą emancypacyją, a brak moralnych zasad, niektóre gotowe korzystać, a że za panią matką pacierz idzie, cóż dziwnego, że i młode córunie, z danych z góry przykładów, będą brać wzory. Przypuściwszy swych synów do wstrętnych bachanalij, jakąż znajdziémy powagę do kierowania nimi i powstrzymania, gdy przebiorą miarę? Nie dając młodzieży możności przyzwoitéj zabawy, nie mogąc wśród własnych ścian znaléźć prawych i godziwych uciech, do których, za naszym przykładem i ona by zatęskniła, pchamy ich w brudne zaułki, skąd obrzydliwymi miazmatami napoiwszy swe płuca, oplugawiają potém własne nasze rodziny i społeczeństwo.

„Widocznym jest wzajemny stósunek moralności młodzieży i narodu wogóle. Gdy udoskonalimy młodzież — cały naród stanie się doskonalszym."

Dotknąwszy palcem rany i za lekarstwem oglądać się trzeba. Owóż i recepta. Jako przeciwstawienie téj demonicznéj złéj woli szalejącéj w sercach występnych, występuje zbawcze przeciwdziałanie pod postacią walki umysłowo-obyczajowéj. Rozdmuchajmy napowrót iskierkę z stygnących popiołów domowego ogniska i przy umysłowym kierunku, jaki daje szkoła, natchnijmy serca młodzieży poezyją rodzinnego, świętego, pojętego z namaszczeniem pożycia; nie szafujmy na wiatr czczych frazesów, osłabiających panowanie religii, nad którą nie wstanie jesteśmy wyższéj postawić powagi, — oddziaływajmy na masy, nie deklamacyjami, które jakkolwiek brzmią pięknie, bez czynów nie poruszą; nikogo,—

a naszych służących i sługi nie za najmitów chwilowych, lecz za ludzi związanych węzłem moralnym z nami poczytajmy, którym oprócz płacy i czujnego nie poskąpmy nadzoru; — a przedewszystkiém przeprośmy zbłąkaną gościę — dawną towarzyskość i wprowadźmy ją napowrót w swe progi,—nie pozwólmy piérwszemu lepszemu lampartowi bryzgać rozkładowémi zasadami w oczy naszych żon, siostr i córek — lecz powiédzmy mu śmiało, że rozmowa np: „o wyższości uczuć miłosnych nad rodzinne o gniwa" nie w właściwe adresowana miejsce w naszych domach,—nie protegujmy tym podobnych dyskusyj a wybierajmy prawdziwie zdrowe temata do rodzinnych pogawędek; a da Bóg,—powoli chorobliwa rana, o jakiéj mówimy zabliźni się w partykularnych szczególniéj naszych mieścinach i w stan chronicznéj zarazy nie przejdzie.

„Siły złego nie można uważać za niezwalczoną siłę przyrody, niedającą się zmienić, lecz tylko za wykroczenie, przeciw któremu sumienie powszechne może i powinno walczyć. Walka ta nie bywa bezskuteczną."

A. A.

WIADOMOŚCI MIEJSCOWE I Z OKOLIC.

= Kujawsko-Kaliska dyjecezyja jedna z największych co do ludności, bo 852,986, wiernych licząca, od początku września 1867 roku t. j. po śmierci ś. p. Michała Marszewskiego, ostatniego jéj biskupa pozostawała bez pasterza.—Głównymi jéj rządcami byli: zmarły d. 3 maja 1873 roku ś. p. ks. Klemens Skupieński i J. W. ks. Floryjan Kosiński, kanonik katedry włocławskiéj.— Jakkolwiek ten ostatni starał się gorliwie wywiązać ze swych obowiązków, to jednak zadosyć uczynić wszelkim potrzebom duchownym nie był wstanie, niektóre z nich bowiem są wyłącznym atrybutem godności biskupiéj.—Cierpiała wiec na tém dyjecezyja, tém więcéj, że nieubłagana śmierć osierociła kapitułę, w któréj zaledwie trzy miejsca prałackie są obsadzone.—Nie miał kto wiernym udzielać sakramentu bierzmowania i kiedy w roku bieżącym J. W. ks. Kuliński biskup z Kielc przybył do Gomulina nie był w stanie zadosyć uczynić pobożnéj chęci kilkunastotysięcznego zgromadzenia, przechodziło to bowiem siły tego dostojnika kościoła.

Ten stan teraz się zmienił, bo w dniu 19 b. m. i r. Jego Ekscelencyja ks. biskup Wincenty Teofil Popiel objął włocławską katedrę, do któréj został przeznaczony. Pamiętnym długo ten dzień będzie dla mieszkańców Włocławka i całéj okolicy dla swéj uroczystości i uczucia, jakie wykali wszyscy w przyjęciu dostojnego pasterza.

Prałaci katedry włocławskiéj W. W. ks. ks. Augustyn Lipski infułat z Chocza, Michał Szultz z Nieszawy i Franciszek Stopierzyński vice regens seminaryjum, dnia poprzedniego udali się do Warszawy, aby w podróży towarzyszyć swemu pasterzowi.—Pociągiem pośpiesznym o godzinie 12 w południe przybył Jego Ekscelencyja, powitany na dworcu kolei przez J. W. ks. Floryjana Kosińskiego administratora dyjecezyi i obywateli z rozmaitych stron, przeważnie z Kujaw, na tę uroczystość przybyłych.

Z dworca kolei udał się J. E ks. biskup do punktu zbornego przy kościele ks. ks. reformatów, gdzie go oczekiwało kilkudziesięcio-tysiączne zgromadzenie, cechy z proporcami, bractwa z gorejącémi świecami, 100 panien w bieli na tę uroczystość przybranych i duchowieństwo w liczbie 150 osób, którzy tak gęsty utworzyli szpaler, że zalegał on drogę do saméj katedry.— Przy kościele, w kaplicy na tę uroczystość stósownie przystrojonéj ubrał się J. E. ks. biskup w pontyfikalne szaty i uroczysta ta procesyja skierowała się ku bramie katedry, gdzie J. W. ks. Kosiński podał Jego Ek. z wodą święconą hyzop, którym pokropił siebie i obecnych, następnie ks. Administrator okadził biskupa. Baldachim nad J. E. nieśli wiejscy i miejscy obywatele. — Gdy cały orszak wszedł do katedry, zaintonowano hymn dziękczynny „Te Deum laudamus," po skończeniu którego J. W. ks. Administrator nad klęczącym przed wielkim ołtarzem biskupem odśpiéwał przepisane w podobnym wypadku modlitwy.

Wkońcu J. W. ks. Kosiński w krótkich, ale serdecznych słowach słowach przemówił do J. E. siedzącego na tronie, wyrażając swoją i całego duchowieństwa radość z jego przybycia i złożył mu hommagijum przez ucałowanie ręki, czego i całe duchowieństwo dopełniło.—Niektórzy z ludu również do tego dopuszczeni zostali. — Podczas oddawania hommagijum klerycy seminaryjum na głosy odśpiéwali: „Ecce sacerdos-magnus." Następnie Jego E. powstał z tronu i pełnémi namaszczenia słowy przemówił do ludu, zalegającego nawet cały chór kapłański.

Po skończonéj przemowie J. W. ks. biskup zgromadzonym uroczyście udzielił błogosławieństwo.

Potém rozebrał się z szat pontyfikalnych i znów tym samym porządkiem co do katedry, przez cały lud i duchowieństwo odprowadzony został do pałacu biskupiego, gdzie przez J. W. ks. Kosińskiego przedstawiane mu było duchowieństwo i obywatele.—Na tém skończyła się tego dnia uroczystość.

Dnia następnego J. W. ks. biskup po odprawionéj przez ks. Kosińskiego o godzinie 10 rano mszy św. do Ducha Przenajświętszego złożył przysięgę na statuta kapituły.

REFORMA SĄDOWA. Z uwagi, że ważna praca p. Adolfa Suligowskiego p. n.: „*O reformie* sądowéj w królestwie polskiém," drukowana w 13, 18 i 19 zeszycie *Niwy*, wyszła w Warszawie w oddzielnéj odbitce,— nie zamieszczamy z drugiéj jéj części wyjątków, jak to było naszym zamiarem, przystępną jest już bowiem teraz dla wszystkich, którzy, czy to z historyją dzisiejszego ustroju sądowego, czy z zasadami nowéj reformy, czy wreszcie z krytycznymi poglądami na nią autora, zapoznać się pragną. Praca pana Suligowskiego zwróciła na siebie uwagę wielu poważnych dziennikarzy cesarstwa i niezadługo ukaże się w przekładzie rossyjskim w jednym z najcelniejszych organów prasy petersburgskiéj.

TOWARZYSTWO OGNIOWE. Ustawa tutejszego towarzystwa ogniowego w tych dniach do zatwierdzenia władzy wyższéj przedstawioną zostanie. Tymczasowo, za pozwoleniem JW. Naczelnika gubernii, pp. Jeziorański Józef i Kohn Fabijan zostali upoważnieni do zbiérania w obrębie miasta podpisów osób, życzących sobie być członkami honorowymi towarzystwa, jak równie i dobrowolnych ofiar na rzecz i potrzeby tegoż towarzystwa. Ponieważ panowie ci, nie wszystkich zawsze w domu zostać mogą, podajemy przeto o tém

W CHWILI GNIEWU

URYWEK

z kroniki kryminalnéj.

I.

Fabrykant Langhejm, byłto dobroduszny i poczciwy człeczyna, kochany i szanowany od wszystkich. Syn ubogich rodziców, pracą i zabiegliwością zebrawszy znaczny majątek, w niewielkim prowincyjonalnym miasteczku zakupił fabrykę obrazków. Na fabryce pracowało kilkuset robotników, szczérze kochających Langhejma, za szczególniejszą sumienność i żywe współczucie, jakie zwykle okazywał im, czy to w chorobie lub innym jakim wypadku.

Oprócz usilnych starań o polepszenie losu swoich robotników, nie przestawał wiele dobrego czynić biédniejszym mieszkańcom. Ileż to razy, niejeden z nieszczęśliwych doznawał od niego pomocy, nie wiedząc wcale o swym dobroczyńcy. To też niedziw że w zupełności zasłużył na powszechny szacunek.

Lecz jako pryncypał, zanadto może był surowym. Pojmując, iż tak znaczny interes mógł istnieć i rozwijać się jedynie przy sprężystości i wzorowym porządku, wymagał od swoich podwładnych sumienności i pracy:—bo, jak sam zwykł mawiać, pracą i uczciwością doszedł do tak wielkiego majątku. Wracając z fabryki po skończonéj robocie, do późna w noc przesiadywał jeszcze w swoim gabinecie, przyprowadzając do porządku księgi i rachunki, które sam wyłącznie prowadził.

Skutkiem zbytniéj może surowości, pomiędzy robotnikami miał i nieprzyjaciół; a szczególniéj tych, których zbyt często zmuszonym był strofować za lenistwo i brak uczciwości. Przytém zbytnia gwałtowność jego charakteru, czasami przechodząca możliwą granicę, tak, iż w chwili uniesienia, zapominając o sobie, częstokroć nie wiedział co czynił, szkodziła jemu i drugim; a chociaż niejednokrotnie usiłował zapanować nad sobą, toć niezawsze był zdolnym powstrzymać uniesienie gniewu.

Od samego początku założenia fabryki, pracował u niego niejaki Ziller.

Był to człowiek nie piérwszéj już młodości, leniwy, niemoralny, a przytém podburzający swoich towarzyszy, za co też został wydalonym. Ziller, człek złego charakteru, poprzysiągł był zemstę Langhejmowi. Nieraz więc na zebraniach w miejscowéj gospodzie, głośno odgrażał się, wołając, iż przyjdzie jeszcze czas, gdy potrafi odpłacić się bogatemu panu.

Langhejm, chociaż słyszał o pogróżkach Zillera, bynajmniéj nie zwracał na nie uwagi, a nawet przyjął jego syna Konrada, chłopca leniwego, a do tego podburzanego jeszcze przez ojca.

Przyjaciele Langhejma radzili mu oddalić Konrada.

— Moi kochani, jakżeż mogę coś podobnego uczynić, kiedy, powiedziawszy prawdę, niczém niezasłużył na moją niełaskę, — zwykle odpowiadał Langhejm. — I dopóki pracować będzie uczciwie, może być pewien, iż go trzymać będę, chętnie przyjąłbym nawet i starego, byleby tylko zechciał się poprawić.

W krótkim jednakże czasie, Langhejm miał dobrą sposobność przekonać się o prawdzie słów przyjaciół swoich. Pewnego bowiem dnia, wcześniéj niż zwykle, przyszedłszy do gabinetu swojego, jaki miał urządzony w fabryce, spostrzegł zamek w biórku zepsuty, brak zegarka srebrnego i pewnéj kwoty pieniędzy. Złodziéj widać wcale o tém nie wiedział, iż Langhejm mało co pieniędzy zostawiał w kantorku, a każdego wieczora wszystkie niemal pieniądze zabiérał z sobą do domu. Przypatrzywszy się jednak bliżéj, poznał zaraz, iż złodziéj dobrze był obznajmiony z miejscowością; na myśl więc, iż może który z jego robotników jest sprawcą kradzieży, wściekał się ze złości.

Nie mając jednakże dostatecznych dowodów, niepodejrzywał nikogo, czekając cierpliwie, aż się rzecz sama wyjaśni,— co też i wkrótce nastąpiło.

Stróż nocny doniósł Langhejmowi, iż tegoż samego dnia widział Konrada Zillera w towarzystwie jakiegoś człowieka około fabryki, którego jednak nie mógł rozpoznać. Langhejm bezzwłocznie zameldował o tém policyi.

A że ogólny głos podejrzywał w téj sprawie i starego Zillera, aresztowano więc obydwóch — bynajmniéj nie spodziewających się wykrycia kradzieży.

Konrad mieszkał razem z ojcem; dla tego też za-

do wiadomości publicznéj, z nadmienieniem, że osoby zbiegiem okoliczności pominięte, a ożywione chęcią złożenia jakiéjkolwiek ofiary, lub zapisania się na członków honorowych, zgłaszać się z tém mogą do p. Kohna Fabijana w domu p. Strzeleckiego. Słów zachęty do ofiarności nie dodajemy, bo jesteśmy przekonani, że mieszkańcy wszystkich stanów, celowi takiéj doniosłości dla pożytku ogółu, poparcia swego nie odmówią. Członkami honorowymi mogą być osoby płci obojga. Listę ofiar ogłosimy w następnych numerach.

TEATR. W ostatniém naszém teatralném sprawozdaniu, wyraziliśmy nadzieję ujrzenia oper poważnych. Nadzieja ta ziściła się, gdyż d. 19 b.m. najpiękniejsza z oper naszych „Halka" piérwszy raz ukazała się na tutejszéj scenie. Do właściwego oddania dzieł wielkich, potrzeba sił niemałych, do przedstawienia zaś opery, takiéj mianowicie jak Halka, konieczną jest odpowiednia muzyka i takież śpiéwy, a tych w zupełności posiadać scena prowincyjonalna nie jest jeszcze w możności. Z tego powodu krytyk miałby niejedno do nadmienienia, tak o saméj muzyce, któréj brakło należytego wyrobienia i takich instrumentów, jak obój, waltornia i basetla, jak również o śpiéwach, szczególniéj chórowych, które niewszędzie były udatne, a najwięcéj nierównością tonów swych i niezgodnością z akompanijamentem orkiestry, raził chór w kaplicy, który, gdyby akompanijowała mu fisharmonija, bezwątpienia byłby lepszy. Przy takich brakach, nic dziwnego, że widoczne usiłowania i niezaprzeczona zdolność pana Kroppe'go, dyrektora orkiestry, nie mogły zaradzić potrzebie.

W solowych śpiéwach, niedostatecznie uwydatniał się Janusz, na co musiało wpływać widoczne nieusposobienie artysty;— pan Einszporn (Jontek) unikał fałszu, w śpiéwie jego nie ginęły wyrazy, lecz jako użyty do téj roli naprędce, w zastępstwie p. Fileborna, miał za mało czasu do należytego przygotowania się i wyrobienia;— pan Patiuszenko, w roli Stolnika, partyją swą basową, wykonał poprawnie, a jego śpiéw poloneza był bardzo efektowny;—panna Solska z roli Zofii starannie się wywiązała.—Prawdziwą ozdobą opery, była pani Wierzbicka, przedstawiająca Halkę. Głos jéj o skali dostatecznéj dla naszéj sceny, czystością i wdziękiem odznaczający się, pięknie się przedstawił w śpiéwach należycie wyrobionych, pełnych ciepła i melodyi, gra prawdziwie dramatyczna, umiejętne oddanie wszystkich sytuacyi z najdelikatniejszémi odcieniami głębokich uczuć i wzruszeń, gestykulacyja i mimika wyraźna — wszystko to razem czyniło z niéj postać nader sympatyczną, pełną prawdy i ciepła. W kilku scenach, a szczególniéj, gdy stojąc przed kaplicą, widzi ostateczne zniszczenie swych nadziej i gdy po chwilowéj chęci zemsty, wierna swéj miłości, odpłaca zdrajcy i uwodzicielowi błogosławieństwem, pani Wierzbicka była znakomitą.

Mówiąc o przedstawieniu Halki, nie możemy zamilczéć o niemej grze pana Sikorskiego, który w roli starca rześkiego jeszcze, wybornie się ucharakteryzował, a w przodowaniu polonezowi i w staropolskiéj dziarskości, jaką uwydatnił na głos dźwięków mazura w mimice i ruchach, pokazał talent umiejący znakomicie odtwarzać stare typy.

Co do mazura—w odtańczeniu go, radzilibyśmy niektórym tancerzom hamowanie się w niewłaściwych wyskokach, bynajmniéj dziarskości nieoznaczających.

Zgodnie z głosem sprawiedliwego sądu znawców i niewygórowanémi wymaganiami, w głównych tylko zarysach wykazaliśmy usterki i dobrą stronę w wykonaniu Halki, pozostaje nam jeszcze wyrazić szczére uznanie dla dyrekcyi, która z niemałą pracą, wystawiając tu poraz piérwszy Halkę, tę najdrogocenniejszą perłę oper polskich, dała możność wielu osobom zapoznania się z najznakomitszym scenicznym utworem nieśmiertelnego naszego kompozytora i ujrzenia niektórym poraz piérwszy tego oryginalnego treścią i wykonaniem dzieła, a tak swojskiego i bliskiego serca,— a przytém i przekonała o swéj dbałości podniesienia sceny prowincyjonalnéj.

Ogół publiczności, mimo usterek, patrząc na całość tak wspaniałego obrazu, wyniósł tylko zachwyt i uwielbienie dla autora i wdzięczność dla dyrekcyi. Dowód nieobojętności publiki dla mistrza i sztuki ten był najlepszy, iż wszystkie miejsca w teatrze, a nawet zaimprowizowane na balkonie loże, mimo cen podwyższonych, były widzami natłoczone

W końcu nadmieniamy, że gdyby dzień przedstawienia Halki był wcześniéj podany do publicznéj wiadomości, mieszkańcy okolicy byliby się także licznie zebrali, a tak nie było, mimo mylnéj wiadomości, podanéj w tym przedmiocie przez niektóre gazety.

We czwartek 21, odegrano z wielkiém powodzeniem komedyją St. Bogusławskiego „Stara romantyczka," po drugi raz krotochwilę Blizińskiego „Chleb ludzi bodzie," i komedyją z francuzkiego „Małe przeszkody." We wszystkich tych sztukach, role były jak najlepiéj obsadzone, grasza z werwą i wykończeniem, a publiczność tak starym jędrnym humorem Bogusławskiego, jak świéżym Blizińskiego, tudzież wesołą i dowcipną komedyją francuzką, doskonale się ubawiła. Gdyby miejsce pozwoliło rozpisać się o grze artystek i artystów, to tylko same sprawiedliwe pochwały wszystkim bez wyjątku by się dostały.

W sobotę 23, dany był na benefis pani Ludwiki Grabińskiéj dramat Balzac'a „Matka rywalka czyli Gra uczuć."

KORESPONDENCYJE TYGODNIA.

Z nad Warty.

Mija już lat jedenaście — od chwili uwłaszczenia włościan— zdawałoby się zatém, że w gospodarstwach ich koniecznie widocznym być powinien znaczny zwrot ku lepszemu.

Spojrzawszy jednak bliżéj na skutki ich pracy, bacznie śledząc rozwój, czy to pojedyńczéj osady, czy kilku razem wziętych, to jest całéj włości, słabe spostrzegać się dają tylko ślady postępu w włościańskiém gospodarstwie. Rzadko gdzie spostrzeżesz dobrze uprawną rolę, pięknem zasianą ziarném, siedzibę ocienioną drzewami, lub maleńki chociażby ogródek. Tam chyba, gdzie przy kolonijalném urządzeniu włości, przybysze zajęli wymierzone działki, lub gdzie niegdyś lesiste obszary, na rolę zamienione, zostawiły ślady swojego istnienia, spostrzegasz dopiéro ukryte w cieniu owocowych lub dzikich drzew, zagrody kmiotków.

Takiémi u nas wioskami są: Iwanowice, Opatów, Miedzno, Mirów i wiele innych.

Zaniedbanemu od niepamiętnych czasów kmiecemu rolnictwu, trudno dziś wydobyć się i rozwinąć, wobec tysiącznych okoliczności, niekoniecznie sprzyjających postępowi. Ulepszone warunki własności, opierając się na swych tylko podstawach, nie mogą wpłynąć na rozwój rolnictwa włościan. Oprócz bowiem swobodnego posiadania ziemi, moralnego przekonania, iż to moje, i co dokonywam, czynię na swojém i wyłącznie niemal dla siebie, potrzeba jeszcze i innych warunków, któreby w połączeniu z warunkiem własności, mogły wpływać w odpowiednim kierunku i rok po roku, posuwać całość ku lepszemu.

Pomijając kwestyją ogólnego upadku rolnictwa —spowodowanego, raz pracą na tém polu częstokroć ludzi niemających nawet elementarnego pojęcia o rolnictwie — powtóre, rzucaniem się drobnych kapitalistów na znaczne obszary, na których zaledwie w ciągu jednego lub dwóch lat najdłużéj egzystować mogą, — potrzecie, upartém trzymaniem się rutyny, — jako odnoszące się do własności większych — zwracamy uwagę tylko na włościańskie gospodarstwa.

Piérwszą i najwybitniejszą przeszkodą do ich podniesienia, są bezzaprzeczenia serwituty. Możność swobodnego pasania inwentarzy na dworskich obszarach, łatwość użytkowania z dworskiego lasu, powodują zaniedbanie w produkcyi rolnéj włościańskiéj, pozostawiając w części znacznéj, bez troski o własne potrzeby.

Okoliczność ta, wyradzając przytém rozliczne spory, częstokroć prowadząc do obustronnych nadużyć, staje się dla włościan wielkiém złem—

---

raz po aresztowaniu, dopełniono w ich domu ścisłą rewizyją. Z początku poszukiwania nie doprowadziły do żadnego rezultatu, nareszcie udało się komuś z obecnych znaléźć skradzione pieniądze i zegarek w kominie.

Konrad, zrazu uporczywie bronił swéj niewinności, dopiéro na widok znalezionego zégarka w domu jego ojca, przyznał się do winy. Lecz co do pieniędzy, utrzymywał, że to jego własne, złożone z oszczędności—a że schował je w kominie, to tylko z obawy, aby mu kto nie ukradł.

Z równym uporem bronił niewinności swojego ojca. Starzec też tak samo uroczyście zapewniał, iż niebrał w tém żadnego udziału; przyczém złorzeczył synowi, iż schańbił jego lata tak niecnym postępkiem.

Na wszelkie zapytania sędziego, upornie obstawał przy swojém nie okazując najmniejszego zmięszania. Widocznem było, iż wprzód już zmówili się z sobą, jak się mają tłumaczyć na wypadek, gdyby kradzież wykrytą została.

Nie bacząc jednakże na to, z uwagi na przeszłe jego życie, i że wszyscy jednogłośnie przypisywali mu wspólnictwo w kradzieży Konrada, został uwięzionym. Policyja ze swéj strony również starała się przekonać go o winie, lecz wszelkie usiłowania jéj musiały spełznąć na niczém, zwłaszcza, gdy stróż nocny nie mógł poznać towarzysza Konrada Zillera, stawiony zaś przed starego Zillera, utrzymywał raz iż to on, to znowu, iż tamten był wyższym.

Nareszcie sędzia śledczy postanowił wziąć się na sposób. Przy powtórném badaniu starego Zillera, powiedział mu, że syn jego przyznał się do winy, mianując jednocześnie starego Zillera wspólnikiem kradzieży.

— To być nie może!—zawołał starzec.—To fałsz! przyprowadźcie go tutaj, tego niegodziwca, a ręczę, iż w przytomności ojca nie powtórzy tak ochydnego kłamstwa, hańbiącego siwe moje włosy. Zresztą, nie przyznaję go za syna; człowiek zdolny do podobnego przestępstwa, nie może być mém dzieckiém. Tak, tu w waszéj obecności musi wyznać otwarcie, jak od małego uczyłem go żyć poczciwie; a jeśli nie słuchając rad ojca, zrobił się łajdakiem, to ja znać go już niechcę!

Minęło parę tygodni, zanim ojciec i syn znaleźli się na ławie oskarżonych sądu przysięgłych. Wszyscy byli tego przekonania, iż stary nietylko był wspólnikiem kradzieży, ale jeszcze wyuczył syna, jak się mają tłumaczyć.

Oskarżeni odegrali swą rolę do końca. Stary zapierał się wszystkiego, Konrad utrzymywał, że dopełnił kradzieży sam jeden, bez współudziału kogokolwiekbądź. Ojciec jego, siedząc z nim razem na ławie, odwrócił się nawet w przeciwną stronę, aby tym sposobem okazać publicznie dla syna pogardę.

Zeznanie stróża zbawiło starego. Ponieważ uroczyście zapewniał, iż towarzysz Konrada był wyższym od starego Zillera, sąd przysięgłych uniewinnił ojca—Konrada zaś, skazał na jeden rok więzienia.

Uwolnienie starego Zillera, wywołało w mieście powszechne oburzenie, każdy bowiem był najpewniejszym winy starego. Sąd jednakże niemając istotnego dowodu, rozumié się, musiał go uwolnić.

Starzec wróciwszy do domu, a przypisując uwięzienie syna wyłącznie tylko fabrykantowi, poprzysiągł niespocząć i chwili, dopóki i Langhejma nie ujrzy w więzieniu. Przy szlachetnym i zacnym charakterze fabrykanta, zdawało się istotném niepodobieństwem ziszczenie takiego pragnienia, chociaż z drugiéj znów strony, stary Ziller nie mógł nie być niebezpiecznym dla niego wrogiem.

Langhejm zresztą postanowił nie zwracać uwagi na pogróżki Zillera, upatrując w tém nikczemność jego charakteru. Mało więc dawał wiary w znaczenie pogróżek Zillera, chociaż ten przy zdarzonéj sposobności, grubijańskim śmiechem starał się pobudzić go do gniewu—lub też wywoływał publicznie, że i bogaty może się również dostać do więzienia.

Jak tylko Konrad został uwięzionym, w ogrodzie fabrykanta, codziennie niemal, jakiś niewiadomy sprawca, zrywał najpiękniéjsze kwiaty, lub łamał gałęzie okazałych drzewin. Posądzano o to starego Zillera, lecz nie mając na to dowodu, niemożna mu było nic zrobić. Policyja nawet, mimo usilnych zabiegów, nie mogła go pochwycić na gorącym uczynku.

Przebiegły starzec był bardzo ostrożnym. A kiedy po upływie roku, Konrad powrócił z więzienia, ojciec przyjął go do siebie, i odtąd wspólnie już poczęli prześladować Langhejma, na każdym niemal kroku. *(d. n.).*

w moralno-ekonomicznem znaczeniu tego wyrazu. Podburzani przez ludzi złéj woli, lub mędrców gromady, jakich każda niemal wioska posiada, nie wachają się nieraz i czynnie wystąpić, częstokroć w imię urojonych nawet pretensyj.

I cóż stąd wynika? Kilku, nawet kilkunastu rolnych gospodarzy bywa sądzonych; rola, zasiewy, ogrody i domy zostają na opiece losu, reszta zaś w rozmyślaniu nad niedolą braci, pędzi czas w miejscowych karczemkach, bynajmniéj nie zastanawiając się nad postępkiem swoim, a tém mniéj nad potrzebami rolnictwa.

Drugą, już nie przeszkodą, ale zaniedbaną lub źle zastósowywaną dźwignią—są szkoły.

Śmiało powiedzieć mogę, iż mało komu jest znanym dzisiejszy stan szkółek wiejskich. A jednak umiejętne kierownictwo na tém polu, powinnoby społeczeństwu pomyślne przynieść plony. Rozbudzić w wieśniakach poznanie własnego dobra i pożytku nauki,—osiągnąć jak najwyższe rezultaty w ukształceniu jednostek w granicach elementarnego programu — podnieść moralność wychowańców, a przezto i na ogół wiejskiéj ludności korzystnie oddziałać — oto szczyt w zadaniu szkół wiejskich.

O ileż jednak wykonanie jest od niego dalekiém?! I czy kiedykolwiek spełnioném będzie, przy dotkliwym braku uzdolnionych elementarnych pedagogów, wobec którego, zarząd szkołą i wykład dostaje się osobom niekompetentnym, często kobiétom, nie zawsze odpowiednim swemu powołaniu, potęgującym nieraz w wiejskim ludzie, zwykłe nieoświeconym usposobienie do plotek, baśni, a nawet podstępnych intryg niekiedy.

Zwróciwszy uwagę i na inne warunki, w jakich szkoły wiejskie egzystują u nas, zapoznawszy się z nimi zbliska, dziwić się niemożna, że nie przynoszą oczekiwanych rezultatów, że ludność wiejska zapatruje się na nie, jako na ciężar, ich zdaniem, niepotrzebny.

Obowiązkowe tylko, chociażby nawet pod karą, posyłanie dzieci do szkoły, obsadzenie szkół ludźmi, pod każdym względem odpowiednimi, zapewnienie im choć skromnego, ale pewnego utrzymania, niezawisłego jak dotąd w wielu miejscach bywa, od fantazyi wójta, będącego opiekunem szkoły, — może przynieść w przyszłości rzetelny pożytek dla ludności wiejskiéj—może postawić szkółki elementarne na wysokości zadania.

. . . . . .

Myśli powyższe przesuwały mi się w podróży. Panująca dokoła cisza przy dniu pogodnym, ożywcze promienie słońca budzące do życia, z nocnego snu uśpioną naturę, nastrajały ducha do głębszych myśli nad chwilą obecną.

Tocząc się zwolna po piasczystéj drożynie w stronę celu wycieczki, dumałem i jakby traf chciał mi pokazać, gdzie jest kres naszych zabiegów, zawadziłem o sterczącą na polu mogiłę.

Mogiła wśród drogi, wobec budzącego się życia, dziwne czyniła wrażenie; trudno było téż ominąć tę stronę, nie dotknąwszy myślą przeszłości martwego grobowca. Zwłaszcza, iż uchylając wieko przeszłości, z pod gruzów bujną porośniętych trawą naraz tryska życie minionéj chwili, jak gdyby kipiący gwar setek żyjących tu istot, dopiéro co uśpionym został:— a przeszłość — siłą wyobraźni powołana do życia, kréśli w pamięci obraz upłynionych wieków, na tle jednéj mogiły wysnutych.

Zanim podjechałem bliżéj, sądziłem zrazu, iż to cmentarz choleryczny, lub samobójców ostatni przytułek. Z zasięgniętych potém jednak wieści dowiedziałem się, iż to grobowiec poległych francuzkich żołnierzy w pamiętnéj epoce 1812 roku.

Zmówiwszy za ich dusze cichą modlitwę, by lekką im nasza była ziemia, ruszyłem daléj. Po lewéj stronie traktu wiodącego w stronę Częstochowy, pod samą wioską Opatów daje się spostrzegać dość znacznéj wysokości góra. Na niéj to, jak niesie miejscowe podanie, pierwotnie miał być fundowany przez księcia Opolskiego dzisiejszy Jasnogórski klasztor. Bliżéj zaś wioski nierówne wzniesienia, doły porosłe rozliczném zielskiem i sterczące kamienne odłamy, wskazują ślad siedzib ludzkich a okoliczne drzewiny cichym szeptem swych liści zdają się potwierdzać ten domysł. Rzeczywiście, w owém to miejscu, według tradycyi, kwitnęło niegdyś miasteczko Witocin. (*)

(*) Wspomnienia o miasteczku Witocinie mają się znajdować w kaliskiém archiwum akt dawnych.

Kiedy ono powstało i jakie przechodziło koleje, niedowiesz się o tém szanowny czytelniku z ust miejscowych osadników, wśród których niewyraźne tylko krążą wspomnienia od praojców nabyte, zwykłym przebiegiem czasu przekształcone i zatarte. Wojenne zapewne wstrząśnienia owego czasu wpłynęły na jego zagładę, z budowli pozostały niewyraźne gruzy, strwożony i wylękły lud rozproszył się po okolicznych borach, niegdyś stanowiących nieprzebyte puszcze, aż w obronie życia i mienia szukając dogodniejszéj dla siebie miejscowości, skupił się pono nad brzegami Licz—Warty, gdzie dziś osada Krzepice istnieje.

Wśród téj miejscowości zdarzy się nieraz wykopać starożytne naczynia, podobno nawet i urny, które przez miejscowych włościan, nieznających wartości przedmiotów niszczonémi bywają. W każdym jednak razie okolica ta mogłaby istotnie zainteresować miłośnika archeologii.

Skutkiem świéżo doznanych wrażeń, anim się spostrzegł, jak wjechawszy na trakt główny chyżo zbliżałem się w mury starego grodu, mijając tym sposobem cel mojéj podróży. Trzeba się więc było otrząść z zadumy i nawracać przez pola, leśne gęstwiny i nędzne w téj stronie wioski i co żywo podążać do osady Kamienica Polska.

Osada Kamienica Polska leży na trakcie częstochowsko-olkuskim w odległości 5 wiorst od granicy pruskiéj, a jednéj mili od miasta Częstochowy nad Wartą i rzeczką Kamieniczką od któréj przyjęła swą nazwę. Przydomek zaś „Polska“ dla odróżnienia od wsi tegoż nazwiska, leżącéj naprzeciw osady w państwie niemieckiem.

Kamienica Polska, jako osada powstała w roku 1818: do tego czasu była to wioska szlachecka, własność Sadowskich. Następnie w roku 1818 wychodźcy z Austryi nabywszy takową od wspomnionych właścicieli rozdzielili pomiędzy siebie i tym sposobem utworzyli dzisiejszą osadę, mającą 210 domów i 1982 ludności. Staraniem miejscowych osadników w r. 1868 został wzniesionym, a w 1870 w d. 9 stycznia poświęconym, pod wezwaniem ś. Michała piękny kościół katolicki, za sumę rs. 10473. Osada ta bowiem, sama przez się stanowi parafiją i gminę.

W osadzie istnieje fabryka wyrabiająca papkę z drzewa osikowego w ilości 4000 centnarów rocznie, dostarczając takową przeważnie do fabryki papieru w Soczewce. Fabryka założona w r. 1873 przez Andrzeja Klebera poddanego szwajcarskiego wprowadza się w ruch, za pomocą wody, maszyną o sile 40 koni, sprowadzoną z Mulhouse z Alzacyi.

Oprócz téj fabryki osada posiada młyny i kopalnię rudy zwanéj „Walentyn“ z któréj rocznie około 3,000 kibli żelaznéj rudy wywożą zagranicę. Mieszkańcy niemal wszyscy zajmują się wyrobem na prostych tkackich warsztatach płócienek bawełnianych w cenie po kop. 9—12 za łokieć, lub od rs. 5 do rs. 7 k. 50 za sztuczkę 60 łokci mającą. Wyroby nietylko w pobliżu spieniężają, ale rozwożą i po więcéj oddalonych miejscowościach naszego kraju.

DO

PANI PIOTROWÉJ Z ALKANTARY

w wigiliją imienin 18 października r. b.

Kiedy człowiek źle stoi z kasą i kredytem,
Dziwna, że się odznacza dobrym apetytem.—
I jak wielki Kopernik, śledzi przez lunetę,
Czy się tam gdzie z komina nie kurzy na fetę.
Z tych więc ważnych powodów, z téj słusznéj przyczyny,
Gdy już blisko są pani twoje imieniny,
Radbym wiedział, czy pani pozostaniesz w domu?
Czy zemkniesz niegodziwie—niedasz nic nikomu?—
Czy nas ogarnie ciemność—czy słońce zabłyśnie?
Czy pani będziesz z nami—czy też pani *świśnie?*
. . . . . .
Jeśli pani pojedzie—to krzyżyk na drogę—
Tak na sucho bez stypki, winszować nie mogę,—
Teraz się każdy kurczy, czasu trudno tracić,
Za strzeliste afekty nawet trzeba płacić.
Niekoniecznie papiérem, lub jaką gotówką,
Lecz chociażby przekąską, piwkiem, piołunówką —
Inaczéj—każdy człowiek, szlachetnego rodu
Zobaczyłby świat przyszły, wcześnie i za młodu.
. . . . . .
Jeśli pani zostanie - hul ha!... Wyśmienicie'
Możesz śmiało rachować na moje przybycie—
Z wielkim pucharem w dłoni, wzniosę myśl w niebiosy,
Wszystkie muzy dobędą melodyjne głosy,
A nawet ów zbereźnik, mały Kupidynek,
Widząc, że jest w humorze Bocian-Faustynek,
Będzie na wszystkie strony puszczał z łuku strzały,
Choćby nawet serduszka, po kopie lat miały;—
Eol, pułkownik wiatrów, po górach i lesie,
Życzenia pomyślności wichrami rozniesie—,—
Tylko trzeba nakłonić dobrodzieja męża,
Aby jako wyrzucił z swéj kieszeni węża—
Niech *in gratiam* imienin przecie się postara,
O jaki antałeczek pełny alkantara!—
Kucharka jak najprędzéj niech indykę chlaśnie,
Nie taką co już jaja wysiedziała właśnie,
Ale tłustą:—gdy gruchnie, że już jest na rożnie,
Że ją pieką, smarują i kręcą ostrożnie,—
Że mąż twój alkantara zlał w liczne butelki,
I że będzie bankiecik, chociażby niewielki—
Sąsiedzi, przyjaciele, wszyscy tam podążą,
Serca swoje otworzą, języki rozwiążą,
I krzykną jednomyślnie, wśród oznak miłości:
Życzymy szczęścia, zdrowia, wszelkich pomyślności!

Eks-Bocian.

OGŁOSZENIA.

Pokój z przedpokojem, z oddzielném wejściem na piérwszém piętrze od frontu jest do wynajęcia każdego czasu. Wiadomość w handlu Leona Zasackiego.

Potrzebny jest *nauczyciel* dla chłopców na wsi;—piérwszeństwo ze zgłaszających się mieć będzie starszy wiekiem i nabytém w swym zawodzie doświadczeniem.

Tamże żądany jest *kucharz* mogący pełnić razem obowiązki *ogrodnika*. Adres: Mazurkiewicz w Jankowie przez Rokiciny.

Mam honor zawiadomić Szanowną Publiczność, iż do mego handlu SZKŁA, FAJANSU, PORCELANY i LAMP, istniejącego oddawna w domu sz-rów Salisa, sprowadziłem wielki zapas SZKŁA TAFLOWEGO, LAGROWEGO i LUSTRZANEGO,—i sprzedaję takowe po cenach fabrycznych. Polecam również wybór GZEMSÓW do FIRANEK w różnych kolorach LAKIEROWANYCH lub POZŁACANYCH, LISTWY POZŁACANE NA RAMKI DO OBRAZÓW i OBRAZKÓW, LISTWY do OBIĆ PAPIEROWYCH, RAMKI do FOTOGRAFIJ RZEZBIONE, z najlepszych fabryk warszawskich i t. p. i t. p.

Przyczém nadmieniam, że przyjmuję WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT SZKLARSKICH, oraz REPERACYJ i PRZEROBIENIA LAMP — i roboty te jak najakuratniéj i zaumiarkowaną cenę uskuteczniam.

Polecając skład mój pamięci Szanownéj Publiczności mam nadzieję, że stale jak dotąd względami Swémi zaszczycać mię raczy.

(12—5) Szlama Madenberg.

W mieście powiatowém Węgrowie, guberuii Siedleckiej, jest do sprzedania **osada** w dobrém **położeniu i warunkach** — korzystna dla osoby specyjalnéj lub ogrodnika, to jest: domek, stajenka, piwniczka, ogród warzywno-fruktowy, w którym znajduje się paręset drzew fruktowych rodzących, dwie sadzawek (jedna z nich zarybiona), kilkanaście uli z pszczołami i inspekta. O bliższych warunkach i cenie dowiedzieć się można w kancelaryi komornika trybunału Skurzalskiego w Petrokowie. — *L. Grochowski.* (3—2)

Na folwarku Kotków o 4 wiorsty od stacyi drogi żelaznéj w. w. Gorżkowice są do sprzedania 2 *maciory* 14-to miesięczne, dużéj rasy angielskiéj po rs. 15 sztuka, i trzy pary ośmiotygodniowych prosiąt po rs. 12 para. (3—3)

DWA POKOJE na parterze do wynajęcia każdego czasu, przy ulicy Pocztowej w domu W-éj Paprockiéj. (3—3)

W drukarni F. Bełchatowskiego w Petrokowie. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **Antoni Porębski.**